



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

## Kwiaty w pokoju.

napisał

E. JANKOWSKI.

I.

Mieszkanie, choćby całe wysłane i przyozdobione przeróżnemi, nawet drogiemi i rzadkiemi cackami, martwe jest bez żywych tworów. Można by je wprowadzić napełnić świegotem i śpiewem ptasząt, lecz nie możemy się nigdy pogodzić z więzieniem tych biednych śpiewaków Bożych w ciasnych klatkach. Stwórca na to dał im skrzydła

lekkopióre i powietrzną budowę całego ustroju, by używały zupełnej swobody. Wszak do nich należy niedostępne dla człowieka, jako nie umiejącego fruwać, powietrze; ich są lasy i pola, ich wzgórza i doliny. Choć więc w klatce dajemy im smaczne pożywienie, odbieramy im za to najpiękniejszy dar życia, wolność, a to się nie godzi. Zresztą rola ich nie polega na samem rozweseleniu martwej przyrody pieniem, które jak sobie wyobrażamy, jest zarazem pewnego rodzaju wysławianiem Stwórcy. Są one potrzebne dla utrzymania równowagi w naturze, dla ograniczenia w rozmnażaniu tak roślin, których nasionami żywią się, jak i różnych pomniejszych stworzeń, a zwłaszcza szkodliwych owadów.

Tymczasem trzymając kilkanaście roślin, istotną ozdobę i ożywienie mieszkania stanowiących, nie czynimy im krzywdy, jeżeli postępujemy z nimi umiejętnie. Wprawdzie doniczka jest nieco ciasna, niemniej jednak zapewnia roślinie warunki bytu zupełnego, czego dowodem kwitnienie, często bardzo nawet bogate roślin pokojowych, a co więcej — wydawanie niekiedy i nasion.

W pokoju zresztą wiele roślin odnajduje te warunki swej ojczyzny, jakich nie znalazłyby w naszym klimacie, w gruncie, pod gołym niebem. W mieszkaniu ciepło — na dworze często wielki mróz; w mieszkaniu spokojnie — na dworze wieją wiatry, lub przewalają się burze rozrywające liście, niszczące roślinny ustrój; w mieszkaniu światło rozproszone, na dworze niekiedy zbyt jaskrawe, a z niem jednocześnie i ciepło świetlnych promieni, zbyt palące.

Trzymanie roślin w pokoju nie wynika też jedynie z potrzeby przyozdobienia i ożywienia mieszkania, choć ona jest główną do tego podniętą. Kto chce, łatwo inne wynajdzie. Pielęgnowanie roślin uczy jednocześnie pielęgnować



dzieci; wdraża do porządku, systematyczności i akuratności, bo kwiatki, jak ludzie, potrzebują opieki stałej i ciągłej, wymagają o swojej porze napoju i pokarmu. Poza tem wszystkim pilnie przyglądane się roślinom pokojowym odkrywa nie jedną tajemnicę ich bytowania, uczy myśleć i kombinować, może zachęcić do poważniejszych badań nad przyrodą. A badanie przyrody jest jednym z najszlachetniejszych zajęć, ponieważ zbliża człowieka najbardziej do Stwórcy, każąc mu w Jego tworach podziwiać wielkość i niepojętą mądrość.

Pragnęlibyśmy, drodzy czytelnicy, byście na rzecz kaźdą z tej strony patrzyli. Nie po to istnieje świat cały, który nas otacza, by nam służył do używania życia, by nam je wygodniejszym czynił, ale po to przedewszystkiem, by myśl naszą wznosił od posiadanej ziemi na te wyżyny, na których króluje wieczna prawda i mądrość, a więc najwyższe dobro i szczęście. Stamtąd spływa światło, które oświeca drogi życia i wskazuje co czynić, by się stać dobrym i dla bliźnich użytecznym. Być zaś dobrym i użytecznym, to są najwyższe cele, do których kaźdy z nas jest przeznaczony i do których ciągle dążyć powinien.

Z tej szlachetniejszej strony będziemy patrzyli i na rośliny w ogóle, a na kwiaty w domu w szczególności.

Stwórca nader szczerze uposażył nasz światek w formy roślinne. Nagą ziemię przyozdobił tak bogato wyszywaną, wzorzystą szatą, że się jej nigdy dosyć nacieszyć i napatrzeć nie można. Ta szata co rok się odnawia, a odpowiednio do klimatu zmienia się. To szara, jak sukmana kmiotka; to barwna i kraśna jak wełniaki naszych księżaków; to mieniąca się licznemi kolorami, jak stroje pańien; to nakoniec pod zwrotnikami, przetykana dziwaczniemi, tęczobarwnemi kwiaty, jak drogi strój książąt i królów.

Przemyślność i skrzętność ludzka potrafiła pod szkłem zgromadzić w ciasnej przestrzeni, mieszkanki różnych stref i klimatów. Wśród tych kwiatów rodzinnych — japonki żyją obok mieszkank z Zielonego Przylądka, Indyanki z Kordylierów — obok Indusek z nad Gangesu.

Jak tej sztuki dokonać by żyły w zgodzie, by kwitły nam i cieszyły swemi cudnemi kształtami, o tem z wami, kochani czytelnicy, pragnę właśnie porozmawiać.

## MALY ZBAWCA

POWIASTKA

przez

Zofię Kowerską.

(Ciąg dalszy).

Teraz, wchodząc do izby z brzemieniem drzewa na ramieniu, odezwał się:

— Oj, tatusiu, taki się wiatr zimny zerwał! Już jakim był na ślizgawce tom poczuł, że zaczyna dąć oń północy. Teraz i śniegiem miecie i niesie od lasu liście zeschłe.

— Ha, tylko co wróciłem z toru — odparł Andrzej — wszystko jest w porządku. Zaraz przeleci pociąg pośnie-

szny... Ale jutro może będzie niemało roboty, jeżeli zadymka naniesie śniegu na tor.

— To ja wyniosę chorągiewkę przed dom — zawołał Antoś ze zwykłą żywością — a tatuś niech się dziś wczesniej spać położy, bo może jutro będzie ciężka praca. Kolacja gotowa. Dołożę suchych gałęzi, to się i mleko zaraz zagotuje.

— Dobrze, chłopcze — rzekł Angrzej — ucz się pracować, ucz się ojca wyręczać, bądź dobrym synem, a będzie z ciebie porządny człowiek! Za godzinę trza stanąć z chorągiewką przed domem. To już ty pójdziesz. Ja się spać zaraz położę, a za to skoro świt polecę do swojej roboty.

W nocy obudziła Andrzeja burza straszna. Wiatr wyl w kominie i zdawało się, że domek zniesie, jak źdźbło suchej trawy. Kawalki gałęzi, niesione od lasu, uderzały w szyby, dach trzeszczał, okienko wyrwane z dymnika upadło gdzieś na sztachety z wielkiem dzwonieniem i łoskotem. Obudzili się wszyscy w izbie i Andrzejowa i dzieci, zapalono lampę i Andrzej, wzięwszy książkę do nabożeństwa, ukląkł, naokoło uklęknęła cała rodzina oprócz dwójga najmłodszych dzieci i wszyscy zaczęli za Andrzejem odmawiać litanie do Matki Boskiej.

Burza szalała ciągle. W domu robiło się coraz zimniej, a ognia rozpalić nie było można, bo wiatr niósł dym i płomień na izbę.

— Sądny dzień! mówiła Andrzejowa — żeby nam się przynajmniej dach na głowę nie zapadł!

— Modlić się nam tylko i czekać co dalej będzie! — odparł Andrzej. — Słyszysz, Hanuś, jak tam nasza Krasula ryczy w obórcę?

Rzeczywiście, wśród huk burzy, do uszu rodziny przedarł się żalostny ryk krowy, którą wycie zawieruchy widocznie przerażało także.

Marynia, która Krasulę lubiła bardzo, żałośnie płakać zaczęła. Tylko czteromiesięczny Jaś, tłuscioczek biały i rumiany, obudziwszy się na kolanach matki, spojrzął na lampę i roześmiał się.

— Oj to, to, głupie! — rzekła matka. — Śmieje się samo nie wie z czego!

— On najmądrszy z nas — odparł Andrzej. — Tak jakby wiedział, że i włos nie spadnie z głowy człowieka bez woli Bożej.

Nareszcie świtać zaczęło i burza się trochę zmniejszyła, choć trwała ciągle.

Andrzej włożył długie buty, krótki kożuszek, futrzaną czapkę na głowę i ozwał się do Antosia:

— Ubierz się w co masz najcieplejszego, bo pójdziesz ze mną na tor. Pewno tam pod lasem zawiąło nasyp, a w lesie może nazrywało gałęzi i zamiosło na szyny. Może sam nie dam rady wszystkiemu.

Andrzejowa westchnęła głośno i przeciągle, ale nie nie mówiła.

Antoś spiesznie ubierać się zaczął. Oczy błyszczały mu radością. Lubił być ojcu pomocą, lubił być uważanym za dużego i silnego chłopca, lubił kopać się w śniegu i lubił pracę w ogóle. Gdy był gotów, zapytał:

Czy mam wziąć szufłę, czy łopatkę, czy miotłę?

— Weź szufłę, ale tę małą, bo dużej nie udźwigniesz.

— Udźwignę, tatusiu! Ja już nieraz wielką szufłą śnieg ze ślizgawki odrzucałem.

— To bierz dużą! Zobaczmy, coś ty wart jako robotnik.

— Poderwie się dziecko! — zawołała Andrzejowa.

— No, już ja tam będę uważał! — odparł Andrzej.

— Nie, mamusiu, ja tę szufłę jak nic podniosę. Ona jest z bardzo lekkiej blachy!

I poszli obadwaj na tor. Naprzód, wśród zadymki i szalonego wiatru, szedł środkiem toru Andrzej. Za nim, z zapartym oddechem, ale z sercem pełnem odwagi, postępował Antoś. W miejscach, gdzie szyny były grubiej śniegiem pokryte, obadwaj zatrzymywali się i śnieg odrzucaли łopatkami i szufłami, a potem nawet zmiatali miotłami.

Antoś był czerwony, jak burak, od wiatru i pracy, było mu na przemiany to zimno, to gorąco, ale się w duchu radował, że dźwigał pełne szufle i że mu sił nie brakowało.

Pod lasem, w dole, choć nasyp był wysoki, naniósł wiatr taką zaspę śniegową, że szyny były na jaki łokieć pokryte. I Andrzej i Antoś dobrze się zgrzali, nim nareszcie zdołali śnieg usunąć i szyny, narzędziem do tego przeznaczonem, wyskrobać. Ale tak, jak przewidywał Andrzej, najgorsza robota czekała ich w lesie. Tam było znacznie ciszej i wiatr nie niósł śniegu takimi tumanami, ale za to szyny były pokryte większemi i mniejszemi gałęziami, a nawet miejscami tak grubemi konarami, że Andrzej z Antosiem we dwóch dźwigać je musieli. Tylko tyle było tam ulgi, że wiatr nie szalał tak, jak na pustem polu.

Antoś związał się jak w ukropie. Biegał, odrzucał gałęzie, pracował za dwóch.

— Antoś! — rzekł Andrzej — przy szuflowaniu śniegu, tom ja był górą i dwa razy tyle co ty zrobiłem, ale przy noszeniu gałęzi, to ty tak się związasz, że dwa razy tyle co ja zrobisz. Jużci to nie ciężka robota, grubsze gałęzie można odeciągnąć na bok, cieńsze odrzucić; rzadko która jest taka, co ją we dwóch dźwigamy, więc tu więcej zręczność znaczy i taki smyk jak ty, łatwiej się zwinie, niż taki chłopot jak ja.

Chłopiec uśmiechnął się z radości tak, że aż dwa rzędy zębów białych jak perły, ukazały się wśród rumianych ust.

Nagle Andrzej zawołał:  
— Jak mi Bóg miły, tak na tej sośnie pociąg by się wykoleił!

Antoś podbiegł do ojca i we dwóch poczeli ściągać z szyn już nie gałąź, ale wierzchołek sosny, który padając przełamiał się na nasypie i sterczał na szynach, tworząc prawdziwą przeszkodę. Andrzej musiał wyjąć siekiere z za pasa i rąbał sosnę spiesznie, bo jeszcze zostawało dużo roboty.

— Czy tatuś widział kiedy, jak się pociąg wykoleił? — zapytał Antoś.

Andrzej aż się zatrząsał i siekiera zadrżała mu w rękach.

— Daj Boże nie widzieć raz drugi! — zawołał. — O, to straszne, straszne nieszczęście! Wiesz, moje dziecko, że ja jeszcze w godzinę śmierci słyszeć będę te jęki i widzieć będę tych ludzi pogruchotanych, pomiażdżonych, poranionych okrutnie. Była jedna pani, która ujrawszy swoje dwie córki zabite, zmysły nagle straciła. Ah! nie będę ci nawet opowiadał, bo żadne słowa nie są w stanie wyrazić, co się dzieje w sercu człowieka, gdy patrzy na tyle cierpienia ludzkiego! I takie wielkie nieszczęście może się stać z winy dróżnika! Na takim mizernym człowieku, jak ja, leży jednak ogromna odpowiedzialność, leży bezpieczeństwo życia mnóstwa ludzi. Jabym chyba sam umarł, gdyby na torze, którego oczyszczenie do mnie należy, zdarzyło się nieszczęście!

— I tatuś mówi, że na tym wierzchołku sosny, pociąg mógłby się wykoleić?

— Jużci w dzień toby pociąg na tę sosnę nie najechał, bo by ją maszynista z daleka zobaczył, ale w nocy wykoleiłby się z pewnością!

— Ja tego nie rozumiem, jak się tó pociąg wykoleja.

— A przecie to łatwo zrozumieć. Kola lokomotywy znajdują przeszkodę na szynach, więc z nich zeskakują i lokomotywa, albo spada z nasypu, albo się w ziemię zaryje. Za lokomotywą biegną w rozpędzie wagony i wstrzymane nagle, przewracają się, piętrzą jedne na drugich, druzgocą się, zabijając ludzi, którzy w nich zamknięci siedzą.

Antoś, ciągnąc odcięte siekiere przez Andrzeja gałęzie sosny, zawołał:

— Ah, tatusiu, już teraz rozumiem! To okropna rzecz wykolejenie się pociągu!

I pracował dalej ze zdwojonym jeszcze zapałem.  
(d. c. n.)

## Do młodych.

Młodość wasza to jak wiosna:  
Tak tam każda myśl radosna  
Wdzięczny urok ma!

Tyle uciech, szczęścia tyle,  
Takie jasne złote chwile,  
Nawet lekką łza!

Co tam pieśni, co tam kwiatów,  
Idealnych co tam światów  
I niebieskich snów.

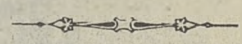
To też w dalszej już podróży  
Gdy się niebo nieraz schmurzy  
Gdy zacięży łza,

Niech wspomnienie wtedy wzruszy  
Te dni jasne twojej duszy,  
Gdzieś tam z głębi dna:

Ciche, jasne ich promienie  
Wniosą w serce ukojenie,  
Z czoła zetrą znój,

I uczujesz się znów młody,  
Ufny, silny na zawody.  
I na trudów rój.

Biału Babcia.



# W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY”

opisał H. C.

(Dalszy ciąg).

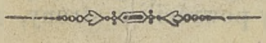
Lubo odległość do „Latającej Ryby” wynosiła najwyżej pół mili ang., profesorowi i jego towarzyszom przezeń ta dłużyła się, jakby jej nigdy przebyć nie mieli; trawy splecione utrudniały bieg, a powietrze parne i duszne zdawało się ich przytłaczać. Krew biła im do głowy, oddech stawał się coraz krótszy, serce jak młot uderzało w piersiach; zdawało się biedakom, że z wysiłku padną nieżywi na ziemię. Każde jednak wejście w stronę ku niebu, podniecało słabnącą energię; czarne chmury coraz bliżej nadciągały. Kilka grubych kropli deszczu padło na zdyszanych w chwili, gdy dosięgli skraju zarośli, skąd już mogli widzieć „Latającą Rybę;” błyskawica rozdarła chmury, blaskiem swoim oslepiając podróżników i rozległ się straszliwy huk grzmotu, odbijając się wielokrotnym echem w oddali. Wreszcie lunął deszcz nawałny, który na uciekających suchej nitki nie zostawił. Trwało to kilka minut zaledwie, poczem deszcz ustał tak nagle, jak nagle padać zaczął, a podróżni ujrzeli się w pobliżu statku.

— Prędko, zamykać zbiorniki — rozkazywał baronet zdyszczanym głosem, a podążywszy do kajuty sterniczej, nastawił w taki sposób maszyny, aby „Latająca Ryba” mogła stawić opór wznagającej się nawałnicy.

## II.

### Bitwa na jeziorze Tanganyika.

Zaledwie okręt zdążył podnieść się na jakie 1000 stóp w górę, gdy od południowo-zachodniej strony nadciągnęła czarna chmura. Głuchy szum rozległ się w powietrzu; mglista para przysłoniła leżący w dole krajobraz a przez nią baronet i jego towarzysze dojrżeli drzewa i zarośla, słaniające się ku ziemi, pod naciskiem jakiejś niewidzialnej



siły. Szum zwiększał się z każdą chwilą; chmury napływały coraz szybciej, huragan kładł i płał długie falujące trawy, wyrwał zarośla i drzewa z korzeniem, w powietrzu wirowały spadające liście i gałęzie od pni oderwane.

— Jeśli czas na to jeszcze, podnieść statek wyżej! — wołał profesor baronetowi do ucha, huk burzy głużył bowiem dźwięk głosu ludzkiego.

— Radbym, przeciwnie, zrobić doświadczenie— odpowiedział w ten sam sposób sir Reginald — i przekonać się, o ile nasz statek jest w stanie wytrzymać napór wiatru. Pilnujcie się tedy.

ny później wiatr ustał, niebo się wyjaśniło, powietrze odzyskało dawną przejrzystość i wreszcie słońce zaświeciło pełnym blaskiem.

Oczom podróżnych przedstawił się wtedy obraz straszego zniszczenia: Trawy tak przybite były do ziemi, że najmniejsze zwierzątko nie mogłoby się w nich ukryć; wysokie drzewa leżały powalone lub stały ogołoczone zupełnie z liści, krzewy i bujne rośliny, wyrwane z korzeniem, zaścielały znaczną przestrzeń dokoła.

Osobliwszy jeszcze widok tworzyły spłoszone zwierzęta. Na znacznej przestrzeni, jaką mogli objąć podróżni



SMOLARNIA W PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ.

I to rzekłszy, całą siłą machin puścił statek naprzeciwko nadciągającej burzy.

Gdy już dosięgła ich nawałnica, wbrew oczekiwaniom, doznali zaledwie lekkiego wstrząśnienia, tylko pomimo równie szybkiego obrotu maszyn, statek zdawał się stać na miejscu, jakby mu nagle nałożono hamulec i przytwierdzono kotwicę do lądu.

Straszliwy łoskot napełniał powietrze; wicher unosił tumany kurzu, liści, całe gałęzie i kępy trawy; podróżni, zgromadzeni w kajucie sterniczej, nie mogli ani słyszeć się wzajemnie, ani nic widzieć w pobliżu. Trwało to kilka minut, potem nagle wiatr przycichł, a statek znowu szybko pomknął naprzód. Burza słabła stopniowo, i w pół godzi-

wrokiem z wysokości 1000 stóp nad ziemią, krążyli niespokojnie czworonożni mieszkańcy tych lasów dziewiczych, puszczy i równin. Antylopy całymi stadami leżały skurczone, drżące ze strachu, lub skakały na trzech nogach, z czwartą złamaną, czy też ranną w czasie burzy, lis jakby z przerażenia utracił przytomność, krążył wśród innych zwierząt, nie czyniąc żadnej szkody. Gdzieindziej okazały słoń, z przecięcioną przez padające drzewo kością pacierzową, nie rusząc powstać, wydawał ryk bolesny; drobniejsze zaś zwierzęta próżno szukały gęstych zarośli jako zwykłego dla siebie kryjiska.

Widząc ten ogólny popłoch, profesor zaproponował towarzyszący, aby powrócili w strony, gdzie spotkali jedno-



ŻUBRY W PUSZCZY BIAŁOWIECKIJ

rozców i starali się odszukać ich ślady. Nadawszy „Latającej Rybie” odpowiedni kierunek, podróżni znaleźli się niebawem w miejscu, w którym leżały ciała lamparta i jego ofiary; skóra tej ostatniej tak jednak była poszarpaną przez krwiożerczego wroga, że nie warto było jej ścigać. Postanowiono zatem ścigać dalej na statku osobliwe zwierzęta; podniesiono „Latającą Rybę” na 500 stóp w górę i z tej wysokości poczęto rozglądać się uważnie na wszystkie strony, lecz poszukiwania te okazały się bezowocnymi, stado jednoroźców zdołało ująć pogoni.

Na noc spuszczone statek na ziemię, a gdy po zwykłej kąpieli podróżni zasiedli do obiadu, profesor rzekł jakby na pociechę:

— Co się odwlecze, to nie uciecze; jednoroźców spotkamy może w dalszej podróży. Tymczasem chcę wam przedstawić plan inny. Szperałem znowu w księdze mego nieszczęśliwego przyjaciela, która to księga, mówiąc nawiasem, należy do dzieł najciekawszych, jakie znam. Otóż tam w rozdziale zatytułowanym *Afryka*, wyczytałem zajmujący opis starożytnego Ofiru, to jest miejsca, skąd podobno sprowadzano złoto na budowę świątyni Salomona. Nie będę wam powtarzał różnych danych wskazówek, gdzie tej miejscowości szukać należy, dość, że jestem przekonany, iż mógłbym jej położenie wskazać dokładnie na mapie. Głównym, a raczej jedynym powodem, dla którego strony te dotychczas przez Europejczyków nie były zwiedzane, jest ich niedostępność, jak niemięcej dzikość i buta zamieszkujących je szczepów, które bronią wstępu do nich obcym przyhyszom. Szczęściem, nasza „Latająca Ryba” rozporządza środkami, łatwego dostania się do nieznanych tych okolic, bez względu na niechęć mieszkańców i inne przeszkody.

— Z ochotą przyjmuję twoją propozycję — zawołał baronet.

— Sądzę — dodał profesor — że ta wyprawa nie będzie pozbawiona różnych przygód a nawet niebezpieczeństw; to nas jednak chyba nie zrazi.

— Ależ bynajmniej! — rzekł Leithbridge, podnosząc spokojnie do ust kieliszek wina.

— Niebezpieczeństwo! — śmiejąc się, powtórzył Mildmay — zapomniałem jak ono wygląda, tak umiałeś starannie profesorze, statek twój od niego zabezpieczyć. Jeśli wiesz o miejscu, gdziebyś przygód jakich doświadczyć mogli, zawieź nas tam, nie tracąc chwili czasu. Zniechęściłem już potrochu i będę niezdatnym za powrotem do służby wojskowej, jeśli nie nadarzy się pożądana sposobność wyprobowania swojej odwagi.

— Masz słuszność — potwierdził baronet. — Starożytny Ofir musi być celem najbliższej naszej wycieczki. Przypuszczam, że i ty, profesorze, nie cofniesz się przed niebezpieczeństwem, mającym rozstrzygnąć ważne zagadnienie naukowe.

— Przekonacie się o tem, jeśli zechcecie wystawić mnie na próbę — odparł Karliński — zaglądałem ja i wrogowi w oczy.

Następnego dnia podróżni złożyli walną naradę, a porównyując znajdujące się w księdze wskazówki z mapą, rozłożoną przed nimi, zgodzili się ostatecznie, gdzie szukać wypada złotodajnego Ofiru i w tamtą stronę skierowali statek.

Dla przypatrywania się okolicom zwolnili bieg „Latającej Ryby” do 20 mil ang. na godzinę, i na czwarty dzień dopiero ujrzeni przed sobą dwa wielkie jeziora połączone rzeką, z szeregiem pagórków ciągnących się po lewej stronie. Były to jeziora: Albert — Nyanza i Tanganyika.

Gdy szybowali w powietrzu nad tem ostatniem jeziorem, oczom podróżnych ciekawy przedstawił się widok. Ujrzeni całą flotę, około trzystu małych łodzi, z kilkunastu wiosłarzami w każdej, którzy szybko zdążyli ku zachodniemu wybrzeżu. Ludzie przybrani byli w skóry zwierzęce i pióra, uzbrojeni w łuki, włócznie, puklerze; a nawet w kilka starych muszkietów, co kazało przypuszczać, iż wyprawa miała jakiś cel wojenny; dla przekonania się o tem podróżni nasi postanowili zatrzymać bieg statku.

Krajowcy, zajęci wyłącznie przedsięwzięciem swoim, nie zauważyli nad sobą dziwnego tego zjawiska. Spiewali jakąś pieśń wojenną, której monotonna nuta powtarzana głosem kilku tysięcy wojowników, dochodziła wyraźnie uszu podróżnych.

(l. c. n.)

## POSZCZA BIAŁOWIESKA.

Niemą już stara Europa równie obszernych lasów, jak te, które się ciągną nad górną Narwią w gub. grodzieńskiej. Na przestrzeni około 17 mil kwadratowych, a które puszcza Białowieską zwiemy.

Wspaniała swą powagą i obszarem, tajemnicza swą niedostępnością, szumi ona od wieków, obojętna na zmiany pokoleń ludzkich, boć dla jej niebotycznych dębów i sosen, zab czasu igraszką zda się tylko, a lata, jako jedna dla innych chwila.

Groźna zasiwkami, niedostępny gąszczami i bagnami, bywała puszcza bezpiecznym schronieniem przed morderczą zarazą, napadami tatarskimi i najazdem Szwedów, a liczny zwierz pędził tu żywot w pierwotnej niemal swobodzie i spokoju.

Aby się wszakże dostać w głąb puszczy, jedzie się od strony Bielska krajem otwartym, płaskim, gdzie tylko przyrzeczne łąki przerywają jasną zielenią jednolitą szarej, uprawnej ziemi, bo lasów naokół puszczy brak już zupełny, i oko objąć może daleki widnokrąg, na którym jedyną różnaitość tworzą dwory szlacheckie i bogate osady chłopskie.

Od Hajnówki dopiero zaczyna się zarysowywać dokoła ciemno-siny pas lasu.

Droga z Hajnowszczyzny prowadzi do Białowięzy i dalej przez lasy. Jest to trakt pocztowy między Brześciem a Grodnem.

Zrazu pojedyncze wysuwają się sosny z fantastycznie powykręcany konarami, niby na straży stojące wojsko z bajecznych podań ludowych.

Ale oto i sama puszcza. Sosna, dąb, jesion, osika, świerk, rosną tu obok siebie w bezpośrednim sąsiedztwie. To też zajrzawszy w głąb, dostrzega oko wszystkie odcienia zieloności, a ta różnaitość odejmuje widokowi posępny charakter jednolitego lasu, jaki tylko w pojedynczych częściach straży się znajduje.

Obok tej cechy nadzwyczajną jest również wyniosłość drzew, które dążąc do światła, jakie tylko górą zachwycić mogą, strzelają ku niebu równym, wysmukłym pniami i tam dopiero rozkładają się w gałęzistą koronę. Nawet rozłożyste zwykle lipy i dęby, przypominają tu raczej wysmukłe topole, u których stóp młoda rozkłada się zielen.

Mijając wielką smolarnię (rycina str. 24f) i baniaste piece do pędzenia terpentyny, dostrzegamy wkrótce bogatą zagrodę z ładnym, drewnianym domkiem, który jest mieszkaniem wielkiego łowczego, a całe ogrodzenie kilkowlkowej przestrzeni, tworzy miejsce przeznaczone na zwierzyniec, dla jeleni, sarn, łosiów i żubrów.

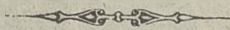
Grunt tu przedstawia równinę, gdziekolwiek tylko falista, poprzecinana wielu rzekami i strumieniami. Liczne są wszakże ostępy, bagna i oparzeliska, kędy stopie ludzkiej wstęp utrudniony, gdzie bezpiecznie kryje się zwierz dziki, i wnoszą spróchniałe zawały drzewne, które niby domy piętrzą się jedne nad drugimi. Bo skoro legnie otrzym wiekowy, druzgocąc wkoło siebie niedorosłą młodzież, wyrwa też korzeniami swemi szeroką przestrzeń ziemi, i wnet w powstałych dołach zbiera się woda, a gdy

tak grunt pełen jest zasadzek i przeszkód, wyziewy zgniliny przesycają powietrze.

Ostępy takie omija uważnie człowiek, bo jak mówi Mickiewicz w IV księdze pana Tadeusza:

„Któż zbadnął puszczy litewskich przepastne krainy  
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?  
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;  
Myśliwiec krąży koło puszczy litewskich łoża,  
Zna je ledwie po wierzchu, ich postać i licę,  
Lecz o'ce mu ich wnętrzne serca tajemnice,  
Wiesć tylko albo hajka wie, co się w nich dzieje,  
Bo gdybyś przeszedł bory i posztyte knieje,  
Trafił w głębi na wielki wał pniów, kłód, korzeni,  
Obrońcy trzęsawicą, tysiącem strumieni  
I siecią zielsk zarosłych i kopcami mrowisk.  
Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkim męstwem,  
Dalej spotkać się z większym masz niebezpieczeństwem:  
Dalej co krok czyhają niby wilcze doły,  
Małe jeziora, trawą zarosłe na poły,  
Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dosłędzą,  
(Wielkie jest podobieństwo, że dyabły tam siedzą)  
Woda tych studni lśni się, plamista rdzą krwawą  
A z wnętrza ciągle dymi, zionąc woń plugawą,  
Od której drzewa wkoło tracą liść i korę;  
Łyse, skarłowaciale, robaczliwe, chore,  
Pochyliwszy konary mchem kołtunowate,  
I pnie garbiąc, brzydkimi grzybami hrodate,  
Siedzą wkoło wody, jak czarownicy kupa,  
Grzejąca się nad kotłem, w którym ważą trupa.  
Za temi jeziorami już nie tyle krokiem,  
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem,  
Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,  
Co się wiecznie ze trzęsnych oparzelisk wznosi..

(d. n.)



## PRZED EGZAMINEM.

OBRAZEK SCENICZNY  
przez I. Moszczeńską.

(Dokończenie).

### SCENA 2.

(Też same, Wądzia stawia lampkę przed sobą).

**Zosia.** Te malcy tak nas przestraszyły.

**Marynia.** Jeszcze tego potrzeba, żeby wstępniaczki uczyły się po nocach!

**Wądzia.** My też mamy jutro egzamin. Chodź Stasiu. (Zasiadają na ostatniej ławce: Wądzia stawia lampkę przed sobą).

**Zosia.** Proszę. I jakież to egzamin?

**Wądzia.** Z nauki o rzeczach. A zresztą co tobie do tego? Uczmy się, Stasiu! (rozklada zeszyt).

**Julcia.** I takie małe myszy po nocy się kręcą!

**Stasia.** Wądzio, one się z nas śmieją!

**Wądzia.** Nie uważaj na te duże. (Objmuje ją), będziemy się uczyły, a one niech robią co chcą.

**Zosia.** Malcy do łóżka! Będziecie nam tylko przeszkadzały.

**Stasia (z płaczem).** One na nas mówią malcy!

**Wądzia.** A wy to bardzo duże. Nie płacz Stasiu, (ociera jej oczy). Uczmy się!

**Stasia (płaczliwym głosem).** Owca jest zwierzęciem czworonożnym.

**Zosia.** Czasem ma dwie nogi i też beczy.

**Stasia (z płaczem).** Wądzio, ona mówi, że ja owca...

**Wądzia.** A ona o'iołek, bo się wcale nie uczy.

**Zosia.** Właśnie, że się uczy; Maryniu, proszę dalej o tych kwadratach.

**Marynia (patrząc w książkę).** Kiedy i tak nie uważacie.

**Stasia (czyta).** Owca jest zwierzęciem ssącym. (Tymczasem Marynia tłómaczy dalej i rysuje, Zosia patrzy na tablicę).

**Julcia do Stasi.** To tylko jagnię jest zwierzęciem ssącym. Owce jedzą trawę, czyś nigdy nie widziała?

**Wądzia (zdziwiona).** Nie, nie widziałam.

**Julcia.** Ty pewno nigdy nie byłaś na wsi?

**Wądzia.** Nie. Ja tylko do wód jeżdżę.

**Julcia.** Ba! a owce do wód nie jeżdżą, więc ich nie widziałaś.

**Marynia.** Lepiej nie przeszkadzałybyś małym, lecz sama się uczyła.

**Julcia.** Kiedy one się takich prostych rzeczy uczą i jeszcze po to nocami wstają.

**Wądzia (powtarza).** Owca daje wełnę na odzież, mięso na pokarm.

**Julcia.** Patrzcie, co za nedorzecznosc! Owca daje wełnę! Owca daje mięso! Pewno jeszcze przyniesie się sama do rzeźnika i poprosi, żeby wziął. Ciekawam, czybyś też chętnie dała wełnę, gdybyś była owcą.

**Wądzia (rozniewana).** Ale ja nie jestem owcą.

**Julcia.** Nie gniewaj się, mała. Ja tylko chcę żebyś sobie wyobraziła...

**Wądzia.** Ja sobie wcale nie chcę wyobrazić! Ja nie potrzebuję sobie wyobrazać! Daj mi pokój! Ja się chcę uczyć!

**Marynia.** Lepiej, żebyś nie przeszkadzała tym małym i sama się uczyła.

**Wądzia i Stasia razem.** Marynia ma rację!

**Zosia.** Naturalnie, że Marynia ma rację. (ziewa).

**Julcia.** Kiedy jak ja tylko zacznę patrzeć na te kwadraty, to mi się zaraz spać chce!

**Marynia.** Ciekawam, czy na egzaminie też usniesz?

**Julcia.** To bardzo być może.

**Marynia.** Ja mówię dalej: Ponieważ trójkąt A B F jest równy trójkątowi B C D.

**Julcia.** Przepraszam cię, ale dla czego równy?

**Marynia.** Zosia ci powie. Zosia uważała.

**Zosia.** Uważałam, Maryniu, ale jestem taka śpiąca, że nie umiałabym powtórzyć. (Helenu mruczy przez sen).

**Marynia.** Bójcie się Boga! ciągle muszę jedno powtarzać. Nie można ruszyć z miejsca, a to już dzień się robi.

**Zosia i Julcia.** Prawda! To już tak późno!

**Julcia.** Można zgasić lampkę (gasi, idzie do małych i dmucha w ich lampkę).

**Stasia i Wądzia razem.** Co ty robisz? Znowu nam coś psocisz!

**Julcia.** No! cóż tam robi wasza owca?

**Wądzia.** O! myśmy już doszły do gęsi. My tak nie prózujemy jak wy, co ciągle w kółko jedno powtarzacie.

**Julcia.** Dalej! małe, gęś daje szmalce, prawda?

**Marynia.** Małe mają rację. One już doszły do gęsi, a my ciągle tkwimy przy naszymi kwadratach. Trójkąt A B F jest równy trójkątowi B C G, bo mają dwa równe boki i kąt między niemi równy. Trójkąt A B F jest połową kwadratu A B C D, bo ma tę samą podstawę i wysokość, a A B C G połową prostokąta B G H I.

(Zosia i Julcia przez chwilę szepczą między sobą. Naraz Julcia odzywa się głośno).

**Marynia (przerzywa wykład).** Jak to nie może być? przecież wiesz, że podstawę trójkąta mnoży się przez połowę wysokości.

### SCENA 3.

(Wchodzi Świątkowska).

**Świątkowska.** Wszelki duch Pana Boga chwali! A niechże was! Cóż to za moda? Po nocach siedzieć i śmiecić robić. Nie dosyć cały dzień tego śmiecenia! Jeszcze będą panny w nocy papiery rozrzucady!

**Zosia.** Kochana Świątkosiu! Nie gniewaj się!

**Świątkowska.** Aha! teraz to kochana! Kochana Świątkosiu nie nastarczy zamiatać, ścierać i porządkować, kochana Świątkosiu już ledwie żywa od roboty. W dzień i w nocy sprzątaj i sprzątaj, Już mam tego dosyć. Powiem pani przełożonej.

**Zosia, Marynia i Julcia.** Nie mówcie! Nie mówcie!

**Świątkowska.** Nie mówcie! nie mówcie! A jutro panny znów wstaną i naśmiecą. Co to? bale się wyprawiają? Skórki od pomarańcz, okruszyny, i cukier na podłódze? Czy to wszystko na to, żeby się myszy pasły? Powiem pani przełożonej.

**Marynia i Zosia.** Nie mówcie, nie gniewajcie się.

**Julcia** (biegnie do ławek i zbiera odpadki). Widzicie, my same sprzątniemy.

**Marynia i Zosia** (pomagają jej). Tak, tak nie będziecie mieli roboty.

**Świątkowska** (pomrukuje). Taka też to pomoc!

**Julcia** (wyciąga z torby kawałek bułki z szynką). O widzicie! jeszcze coś zostało; tośmy dla was schowały. Zjedzcie, proszę!

**Świątkowska** (udobruchana zajada). Aha! czy to panienki o mnie myślały?

**Zosia** (znajduje kawałek tortu). Weźcie i to. (wciska jej w rękę).

**Marynia.** A tu parę ćwiartek pomarańczy (daje Świątkowskiej).

**Julcia.** Widzicie, jakie to dobre panienki. Myślały sobie: biedna Świątkowska musi naczco pracować, pokoje zamiatać, niech się przynajmniej czemś pożywi. Więc przyniosły trochę jedzenia i zostawiły na ławeczce żeby wam zrobić niespodziankę, a wy na nas jeszcze za to „huru, buru” taka to wdzięczność na świecie.

(Następuje niema scena. Świątkowska zasiada na fotelu i zajada. Dziewczęta zamiatają i sprzątają, Helenka spi i popruwia się z boku na bok).

**Świątkowska** (z ustami pełnymi jedzenia). Panienki, obudźcie też pannę Helenkę, bo tam przy niej na ławce same okruszyny. Trzeba sprzątnąć, bo lada chwila pani przełożona wejdzie.

**Dziewczęta razem** (przestraszone). Co? pani przełożona już wstała?

**Świątkowska.** A tak, ubiera się; już dwa razy na mnie dzwoniła.

**Julcia, Marynia, Zosia** (w popłochu zbierają swoje książki i kajeta).

**Julcia.** Wiecie o tem i nic nie mówcie.

**Marynia.** Któżby myślał, że pani przełożona tak wcześnie wstaje.

**Zosia.** Przecież dopiero niedawno spać się położyła. Widziałam światło u niej do drugiej godziny.

**Świątkowska.** Tak, tak. Już to my obie z panią przełożoną, jak przyjdą egzamina, nie mamy czasu na spanie. Do późnej nocy lekcye i sesye, a rano wstawać i wszystkich do porządku napędzać.

(Wśród tej przemowy dziewczęta zniknęły za drzwiami).

Po chwili wraca Julcia i budzi Helenkę, ciągnąc ją za rękę i trzęsąc za ramiona).

## SCENA 4.

(Julcia, Helenka, Świątkowska).

**Julcia.** Helenko, wstawaj!

**Helenka** (z trudem otwiera oczy, mruczy). Ażeby do wieść... że...

**Julcia** (potrząsa nią mocniej). Nie śpij! zaraz egzamin.

**Helenka** (przeciera oczy). A tak, egzamin.

**Julcia.** Czy umiesz geometryę?

**Helenka** (przeciąga się i ziewa w okropny sposób). Naturalnie! Przecież się przez całą noc uczyłam.



## MAŁA CYKLISTKA.

Chociaż jazda na bicyklach, nie bardzo, zdaniem naszym, stosowna jest dla panienek, jednakże jako osobliwość podajemy tu rycinę przedstawiającą małe dziecko, bo zaledwie półczwarta roku liczącą dziewczętkę, która za zręczność swą i wytrzymałość w dalekich nawet wycieczkach, jakie ze swym ojcem i starszymi braćmi odbywa, otrzymała na konkursie cyklistów w Darnsztatzie pierwszą nagrodę.

Młodziuchna laureatka nazywa się Eliza Landau i pochodzi z Moguncyi.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3<sup>1</sup>/<sub>2</sub> korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** Kwinty w pokoju, napisał E. Jankowski. — Mały zbawca, powiastka przez Zofię Kowerską. — Do młodych, wiersz przez Białą Babcie. — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej Ryby” przez H. C. — Puszcza Białowieska (z ryc.). — Przed egzaminem, obrazek sceniczny, przez I. Moszczeńską. — Mała cyklistka (z ryciną). — Dodatek: Co bywa zimą, wiersz przez Irenę Mrozowicką (z ryc.). — Co było w koszyku? — Gołębek. — Złoty pieniądz. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

**Dodatek książkowy:** Powrócili, powieść dla dorastającej młodzieży, przez Teresę Judwigę.



# WIECZORY RODZINNE

## Co bywa zimą?

Prawda mamusiu, że w zimie nudno?  
Nawet się na dwor wychylić trudno,  
Taki mróz zawsze lub zawierucha.  
W polu nie widać żywego ducha,  
I ptaszków nawet, i kwiatków niema.  
O tak! szkaradna, nieżnośna zima!

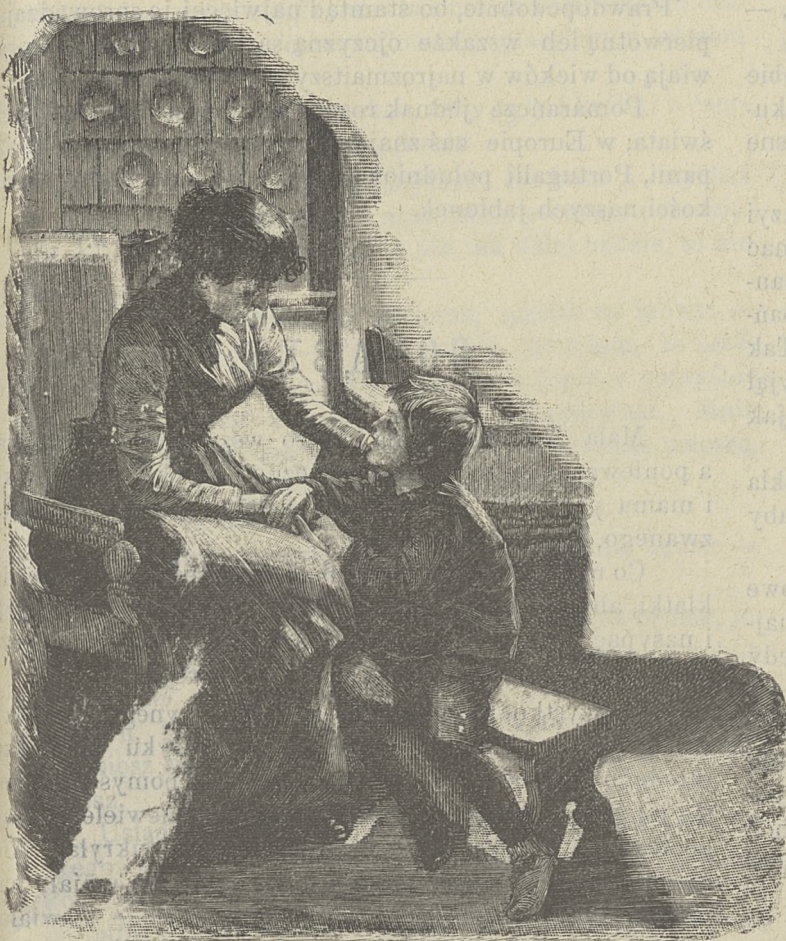
Mylisz się synku; jak wszystko w świecie,  
Tak też i zima ma swój wdzięk przecie.†  
Gdy jasnym słońkiem błysnie wesoło,‡  
Iskry i tęcze rozrzuca wkoło;  
A chociaż drzewom wydarła liście,  
Stroi je za to w brylantów kiście.

Czyż nie są wdziękiem zimowej pory  
Te przy kominku długie wieczory?  
Gdy mama, tatuś, lub babcia siada  
A przy nich cała dziatwy gromada?

A w dni pogodne sanna, ślizgawka,  
Czyż to nie miła dzieciom zabawka?  
Kiedy zaś jasna gwiazdka zaświeci,  
Aniołek z nieba do nas przyleci —  
Kiedy do Wilii razem zasiędziem  
Czyliż na zimę narzekać będziemy?

O nie, mój synku! pomnijmy tylko,  
Że zima krótką przeleci chwilką,  
A potem ciepła wiosna nastanie,  
Co wychowuje kłosa na łanie,  
Gdy siew rzucony, z jednego ziarnka,  
Złoty się plonów uzbiera miarka.  
Niechże siew pracy, nauki, cnoty,  
I w twem serduszką wyda plon złoty.

Irena Mrozowicka.



## Co było w koszyku?

(Dalszy ciąg).

— W dawnych czasach — rzekł wuj — ludzie bardzo bogaci używali do oświetlenia oliwy zaprawionej pachnidłami jak np. u starożytnych Rzymian. Za czasów niezbyt dawnych używano wszędzie do lamp oleju, i lampy wówczas zwały się olejne. Było to dla oczu bardzo zdrowe ale też dosyć drogie. Z odkryciem więc nafty, która jest i tańsza i jaśniejsza oświetlenie olejne utrzymało się już tylko potrosze w kościołach i przed obrazami.

Oliwy używają przytem do rozmaitych aptecznych wyrobów.

— A duże są te oliwkowe drzewa — zapytał Jaś?

— To zależy. Drzewa dobrze rozrosłe mają do 20 i 25 łokci wysokości, a pień ich dochodzi 8 i 10 ł. obwodu. Po plantacyach jednak, gdzie stare drzewa, zastępują ciągle nowymi są one znacznie mniejsze. †Sadzą je jak

nasze wierzby, furwane gałązki wtykając w ziemię. Gałązka rozrasta się i kształtem swym przypomina miotłę. Ziarnko zaś rzucone w rolę, na drugi rok dopiero kiełkowaćby zaczęło.

Takie jednak z nasienia wyrosłe drzewo gdy dojdzie np. lat 100 jest bardzo piękne; nie ścięte zaś i do tysiąca żyć może. Drzewo oliwkowe bowiem jest niezmiernie wytrzymałe; ścięty a nawet spalony pień nowe jeszcze wypuszcza pędy które wyrastają wspaniale, o szeroko rozgałęzionej koronie.

— Na górze oliwnej pod Jerozolimą — przerwał Kazio — niejedna ze starych oliwek widziała pewno uwięzienie i mękę Chrystusa Pana.

— Wiele jednak z dziko rosnących drzew karłowacie — mówił dalej wujaszek — i wtedy pokrywszy się

cierniem, którego wyniosłe drzewa nie mają, tworzy gestę, do naszej tarniny podobne krzaki. Zdrobniały wtedy owoc zawiera zaledwie trochę gorzkiego soku.

Wuj odpoczął chwilę, a słuchające ciekawie dzieci przyznały, że naprawdę w prostych sklepowych towarach znalazło się dużo ciekawych rzeczy, o czym nawet niosąca je Maryanna nie wiedziała.

— A wy co nam powiecie? — zawołała Kazia, — podnosząc paczkę fig.

— Ja, — odezwał się za figę wujaszek — roślam sobie także nad Śródziemnym morzem, mam jednak dużo kuzynek po szerokim świecie, gdzie tylko powietrze jasne jest i ciepłe. I po cieplarniach bywamy także.

Najpiękniejsze i najznaczniesze żyją w Małej Azji i mogłabym się pochwalić, że stamtąd pochodzę, ale kłamać nie chcę i ojczyzny mej nie zaprę się. Jestem Hiszpanką, czego jednak nie potrzebuję się wstydzić, bo niech państwo będą tak łaskawi spróbować mnie w tej chwili. Tak mówiły słodkie figi, a wujek rozwiązał paczkę i wyjął trzy sztuki, pięknego złotego koloru, rozplaszczone jak dłoni.

— Ach wujku, jaka ta Hiszpanka dobra, — rzekła Kazia, — a Jaś przysunął się jeszcze bliżej wujka, aby słuchać co dalej powie.

— Figi zarówno, jak oliwki i każde inne owocowe drzewa, dzielą się na dzikie i szlachetne. Figi dzikie najczęściej karłowacieją i tworzą rodzaj płotów, a wtedy owoce ich są cierpkie i nie większe od orzecha.

Figa hodowana jest bardzo pięknym drzewem. Nie dochodzi w prawdzie więcej jak do 15 łokci wysokości, ale bujne jej gałązki tworzą bardzo okazałą koronę, pokrytą liśćmi o pięknej zieloności. Ścięte drzewo, choć z czasem twardnieje jak dąb, do żadnego jednak nie zdane jest użytku, za to owoc...

— Och — owoc doskonały! wtrąciła Kazia.

— Za to owoc nie tylko smaczny ale i zdrowy bardzo, kończył wujek.

Figi zazwyczaj dwa razy do roku wydają owoce. Mówi się owoce, chociaż właściwie według botaniki mięska figa, którą jemy, owocem nie jest. Jest to tylko mięsista i soczysta powłoka, która owoc okrywa. Owocem właściwym są ziarenka, bo każde z nich jest nasionkiem.

Od maja do jesieni drzewo figowe pokryte jest najrozmaitszemi figami, z których jedne zupełnie już dojrzałe, drugie zielone jeszcze, inne znowu zawiązują się dopiero.

Tym sposobem przez całe lato zrywać je można; na wiosnę już dojrzewają najpierwsze. Są one największe i najsoczystsze, tylko mniej słodkie. Nie można ich też przechowywać, więc jedzą się na świeżo; te zaś, które sprzedają po handlach, zrywane bywają w lecie lub jesieni.

Figi przeznaczone na przechowanie płuczą się i po wysuszeniu splaszczają od wierzchołka do ogonka. Gorsze gatunki nawlekają na sznurki, lepsze układają w pudełka. Najdroższe figi pochodzą z Małej Azji. Są one wybierane z wyborowych gatunków i suszone w cieniu przewiewem powietrza. Nazywają je: Smyrneńskie. Hiszpańskie jednak nie ustępują im w smaku.

— O nam wybornie smakują — zawołały dzieci — wuj znowu sięgnął do paczki.

— Wszystkich fig jest na świecie przeszło 100 gatunków, a dzielą je w ogóle na dwie gromady: ciemne i jasne. Poczciwe figi nie wymagają nawet zbyt uprawnego gruntu i na piaskach nawet rosną, byleby im było ciepło i wilgotno.

— Czy ta pomarańcza pochodzi także z nad Śródziemnego morza? zapytał Jaś.

Prawdopodobnie, bo stamtąd najwięcej je sprowadzają, pierwotną ich wszakże ojczyzną są Chiny, gdzie ją uprawiają od wieków w najrozmaitszych gatunkach.

Pomarańcze jednak rosną we wszystkich częściach świata; w Europie zaś znajdują się we Włoszech, w Hiszpanii, Portugalii południowej, Francji i dochodzą wysokości naszych jabłonek.

(d. n.)

## GOŁĄBEK.

Mała Antolka lubiła bardzo wszystkie zwierzątka, a ponieważ było to dobre i grzeczne dziecko, więc tatko i mama pozwolili jej trzymać w domu pieszka, Myszka zwanego, i kanarka Maciusia.

Co rano Antolka przed śniadaniem jeszcze biegła do klatki, aby ptaszкови zmienić wodę, dać świeżych ziarek i nasypać piasku w szufladkę, a Myszka skakał w koło pani i czekał, upominając się o swą porcję.

I wszystko było dobrze, aż razu pewnego Antolka wbiegłszy do kuchni zobaczyła w koszyku kucharki, młodego gołąbka. To pewno na obiad, pomyślała, i żal się jej zrobiło biednego ptaszka, więc też niewiele myśląc pochwyliła gołąbka i pod swem łóżeczkiem ukryła. Ale gołąbek był tak mały, że sam jeszcze jeść nie umiał; na próżno dziewczynka sypała mu groch i wodę stawiała, ptaszek siedział smutny i osowiały, aż żal było patrzeć! Już wieczór nadchodził, a gołąbek wciąż siedział nieporuszony, Antolka zaś była taka zmartwiona, że i literki źle z mamą czytała, aż w końcu lekcji głośnym wybuchnęła płaczem.

— Mamo najdroższa — zawołała — już ja tego więcej nie zrobię — już nigdy nie wezmę nic bez twego pozwolenia — ale ratuj gołąbka, — bo zdechnie.

Mama, widząc żal córeczki, kazała wydobyć ptaka z pod łóżka, podać sobie drobnego grochu i wody, a otworzywszy gołąbkowi dzióbek, wolno było ziarenka wpuszczać mu do gardła zaczęła, i poczekawszy aż przełknie, wodą za pomocą piórka go poila. Biedaczek nie przyzwyczajony do takiego karmienia, otrząsał się z początku i usuwał, ale wkrótce się ożywił i nawet po stole spacerował, a Antolka, skacząc z radości aż w rączki klaskała. Wtedy mama powiedziała:

Moja Antolko! ten gołąbek był umyślnie dla ciebie kupiony, ale ty powinnaś się była zapytać czy możesz go sobie wziąć, że zrobiłaś to bez mojej wiedzy, chciałam ci odebrać ptaszka. Jednak widzę, masz dobre serduszko więc daruję ci winę. chowaj sobie gołąbka; nazwiemy go Fajfuś, bo to z gatunku fejfrów, co koziołki w powietrzu wywracają, a gdy pojedziemy na wieś, wpuścisz go do gołębnika, bo byłoby mu smutno samemu.

A. S.

# ZŁOTY PIENIĄDZ.

(Dalszy ciąg).

I nie zwracając na to uwagi, że ustawicznie zamiar zmieniając, sama ciągle mówiła i nie dawała nikomu czasu na odpowiedź, coraz głośniejszym, płaczącym głosem mówiła:

— Bo ja chciałabym także, żeby były i króliki z czerwonymi wstążeczkami na szyjkach!

No, Janku, mówże prędko! Siedzisz i myślisz o niebieskich migdałach, a mnie nic nie chcesz poradzić. Ja pewnie nic nie wyszyję, bo jak tak dalej będzie, to nie zdążę!

— Ślicznie Stefunia zaczyna, niema co mówić — rzekł ojciec surowo. — Przed chwilą mówiłem, że przede wszystkim trzeba być grzeczną i dopiero pomyśleć o podarunku dla mamusi, a ty się już gniewasz. Mnie się zdaje, że ani mamusię, ani tatę, króliki nie ucieszą, jeśli je wyszywać będzie taka mała złoźnica.

Stefunia zawstydzila się.

— Mamusia przecież o tem wiedzieć nie będzie — rzekła cichutko.

— Owszem, mamusia wszystko wiedzieć będzie, jeśli się nie poprawisz — odrzekł pan Zaniewski — w takim tylko razie nie wspomnę jej o tem, jeśli przez cały ten tydzień, który nas dzieli od jej przyjazdu, ani razu nie uniesiesz się gniewem i grzeczniej do brata mówić będziesz.

Usiądź więc i czekaj cierpliwie, dopóki ja z Jankiem czegoś nie postanowimy; zaczyna mnie naprawdę niepokoić ten twój gwałtowny charakter, dajże choć chwilę do namysłu, nie można zawsze wszystkich tylko sobą zajmować. Po obiedzie zabierzemy się razem do przygotowań.

— No, a cóż ty, synku, wymyśliłeś?

— Ja, ojczulku, postanowiłem nauczyć się zagrać na fortepianie, ale doskonale, bez najmniejszej omyłki, tego ślicznego krakowiaka, co to mamusia tak lubi i jakiego ładnego wiersza na pamięć, kłaprowda, że to zrobiłbyś mateczce przyjemność?

— Bardzo dobry pomysł! a ja każę w ogródku blisko tych dwóch dużych kasztanów postawić ładną altankę, a w niej wygodny fotel. Stefunia położy tam swoją poduszkę, a Janek wypowie swój wierszyk.

Janek klasnął w dłonie, Stefunia także się rozweseliła.

— Ach, jak to będzie dobrze, jak ładnie, jaki tatuś dobry.

Pan Zaniewski sam czuł się rzeczywiście szczęśliwy. Po kilkumiesięcznej nieobecności powracała ukochana żona, zdrowa zupełnie, spragniona ich widoku. I znów zasiądzie z nimi do stołu, opieką swoją otoczy ich wszystkich.

Gdyby tylko jeszcze Stefunia pozbyła się tej niczem nie pohamowanej żywości i roztrzepania, żeby o byle drobnostkę nie wpadała w gniew, życie w kółku rodzinnym i cichem byłoby rajem! Ale i ona przyrzekła przez

miłość dla matki swój charakter złagodzić. Nie tracił więc nadziei, a tymczasem, zwracając się do dzieci, rzekł:

— A zatem wszystko postanowione, od jutra zaczniemy swe prace.

## III.

Stało się jak pan Zaniewski postanowił. Nauczycielka Stefuni, panna Ludwika kupiła kanwy, włóczkę i dziewczynka rozpoczęła śliszną robótkę, otrzymując wskazówki, jak należy dobierać kolory. Janek pilnie wygrywał gamy i ćwiczenia i zaczął się uczyć krakowiaka.

Pan Zaniewski tylko, choć umówił cieślę, nie mógł znaleźć stolarza.

— A stolarz Walenty z sutereny, ojciec Władka i tej małej, kulawej dziewczynki, może on podejmie się tej roboty? — rzekł Janek, słysząc, jak ojciec się uskarżał.

Pokazało się, że pan Zaniewski, nic o Walentym z sutereny nie wiedział, za to Janek był doskonale powiadomiony o wszystkim. Opowiedział więc ojcu o zrobionej znajomości z Władkiem i jego siostrzyczką, o tem, że są oni bardzo biedni, że Władek z ojcem ciężko pracuje.

Postano po Walentego i wszystko ułożyło się jak najlepiej! Nazajutrz rano, skoro świt, stolarz z synem pójdą do ogrodu i podczas, gdy cieśla wykonywać będzie swoją robotę, oni przysposobią drzewo na podłogę i cienkie prątki do ułożenia kratki, między filarami.

Ogólne więc było zadowolenie; pan Zaniewski, rad był że altanka będzie skończona, stolarz Walenty, że będzie miał dobry zarobek, i Władek, że będzie w ogrodzie, a nie w suterenie siedział dzień cały.

Tylko biedna Anielka nie brała udziału w tym gorączkowym pospiechu, z jakim robiono przygotowania na przyjazd pani Zaniewskiej. Przez tych kilka dni, pozadomowej pracy ojca i brata, czuła się ona jeszcze więcej nieszczęśliwą, jeszcze więcej samotną, niż zwykle. Ale Władek to bardzo odczuwał. W pierwszym dniu zaraz swej pracy w ogrodzie, gdy słońce ozłocilo kwiaty i ziółka, a lekki wietrzyk przyniósł z oddali zapach pól i lasów, schylony nad deską, którą heblował, myślał o niej, o tej biednej swojej małej.

Nie śmiał jednak przynieść jej do altanki, bo onieśmielała go panienska. Ile razy spojrzał na nią, jej dumne usteczka zdawały się powtarzać: Jaki ty niemądry jesteś, Władku. A może ona i ma rację — myślał sobie, któż to słyszał, przyszedłszy na robotę, prosić zaraz o pozwolenie przyniesienia Anielki? Mogliby się państwo obrazić, wziąć jakiego innego robotnika, i zarobek by przepadł. Nie, lepiej nie próbować.

Wieczorami więc tylko opowiadał jej, że altanka do połowy już skończona, że będzie bardzo ładna, że pan z paniczem i panienką często przychodzą przyglądać się ich pracy, że mu się paniczyk bardzo podoba, bo zawsze taki greczny, taki rozmowny. Anielka słuchała z przyjemnością opowiadań brata.

— I jutro pójdziecie tam także, prawda i pojutrze, i jeszcze tak długo?

Westchnęła, a Władek obejmował ją, całował w czoło i mówił:

— I jutro i pojutrze, Anielko, i tak jeszcze pare dni, ale jak się wszystko skończy, to i ty będziesz miała swoją przyjemność.

Ona? Jaką?

Władek obiecywał ale nic nie mówił jaką i kiedy, bo sam nie wiedział, czy mu się uda, a przedewszystkiem czy będzie miał śmiałość wypowiedzieć to paniczowi. Jemu jednemu, może odważyłby się jeszcze, ale kto to wie, co później może nastąpić?

Przypadek sam mu jednak w tem dopomógł.

Dnia pewnego Janek ze Stefunią przysli do ogrodu od samego rana. Dziewczynka usiadłszy w cieniu kończyła wyszywać swoją poduszkę, Janek z książką w ręku, z której uczył się wierszy, usiadł na belce leżącej na ziemi obok pracującego Władka, i zaczął deklamować dumę o Żółkiewskim, Niemcewicza.

(d. c. n.)

### ZAGADKA.

Czy powiedzieć mi możecie;  
Kędy to są na tym świecie,  
Dziwy ot, takiej natury:  
Bez skał, ziemi; wszelkie góry;  
Bez wody: morza i rzeki;  
A cały przestwór daleki,  
Miaś, miasteczek, osad dawnych,  
Krajów, mniej lub więcej sławnych,  
Do najdalszych ziemi krańców,  
Bez budynków i mieszkańców.

### ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

Wichura dla Sarenki z podol. lasów.

Pł.n. w.d. z. w.d.łm.  
. z g.ł.z.k l.ś .bl.t.,  
S..r.t.ńk. z. g.r.m.  
Prz.w.dr.w.ł kr.j. św..t.  
. j.ż n.c m. n.. p.trz.b.  
N.d w.d.m., n.d c.dz.m.  
J.n. krz.nk. sw.g. n..b.  
. w..trz.k. sw.j.j z..m.

### ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA.

Od Puszczyka dla Smoka Waw.

a a a a a a  
b d d e  
e i i i i k  
k k m n  
n o o r r r  
z z z

Z rozrzuconych tu 29 liter ułożyć znane przysłowie.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 1-go

Kryształowej zagadki: Nowy — Rok.

Zagadki: Po.

### Łamigłówki kropkowanej:

Owe obłoki ranne zrazu rozpiezchnione,  
Jak czarne ptaki lecąc w wyższą niebios stronę,  
Coraz się zgromadzały. Ledwie słońce zbiegło:  
Z południa, już ich stado pół niebios obiegło  
Ogromną chmurą. Wiatr ją pędził coraz chyżej  
Chmura coraz gęstniała, zwieszała się niżej  
Aż jedną stroną nawpół od niebios oddarta,  
Ku ziemi wychylona i wszecz rozpostarta,  
Jak wielki żagiel, biorąc wszystkie wiatry w siebie,  
Od południa na zachód leciała po niebie.

(z Pana Tadeusza).

### Skrzynka do listów.

Za wiadomości jakie nam udzieliła Iskierka o zdrowiu swej mamusi i braciszka dziękujemy, i szczerze się cieszymy polepszeniem. Powiastki, w rodzaju tych, jakie ci się tak bardzo podobają, znajdziesz zawsze w Wieczorach, o ile to od nas będzie zależne.

Łamigłówki własnego układu przysłali: Sokół z nad Wisły, Mieczysław B. Kadłubek, Orzeł Czuby, Błękitna Niezabudka; dobre zaś rozwiązania: Stefan K., Wiochna., Smok, Tadzio W. Turkawka i Anulka.

Niecierpliwym autorom łamigłówek i szarad nadmienić musimy, iż w obec wielkiej ilości, jaka się tychże ostatniemi czasy nagromadziła, tylko najlepsze wybierane będą do druku, i to w porządku, w jakim nadsyłane były.

Dobrze zrobiłaś Czarna Jagódko, żeś wcześniej zdecydowała się na napisanie liściku do mnie, skoro zostałaś już stałą czytelniczką Wieczorów. Obiecuję ci też na każdy liścik spiesznią przesłać odpowiedź, pewna, że wkrótce zaznajomimy się wzajemnie polubimy.

Ciesz się bardzo, że z taką przyjemnością czytujesz Wieczory Ludku P. i bracia twoi, a jeżeli zeszłoroczne powieści podobają się wam, to przekonana jestem, że i tegoroczne nie będą mniej zajmujące. O następne liściki proszę.

Nigdy kochana Zywilo, nie możesz mię znudzić swym listem, bo wszakże chętnie zaznajamiamy się z tymi, którzy okazują nam sympatyę i życzliwość, a właśnie za dowód takowych, uważam zawsze korespondencye młodych naszych przyjaciół, więc też, jak to słusznie sama zauważyłaś, lubię wielce tę pismienią z nimi pogawędkę. Nie sądzę, aby lenistwo do pióra, choć się do tego szczerze przyznajesz, tak było wielkie, byś mnie znowu niezadługo liścikiem swym obdarzyć nie miała. W nadziei więc, że się nie zawiodę przesyłem ci serdeczne pozdrowienia, a proszę donieś mi, czy wyrysowana na liście jaskółka twoim jest dziełem, miałybyśmy bowiem wspólne upodobanie, bo i ja rysunki bardzo lubię.

Szczerze życzenia, zawsze równie szczerem przyjmuję sercem, więc i za twoje Turkaweczko dziękuję, życząc ci nawzajem wszelkiego dobra. Imię Jaskółka musi ci wystarczyć, gdyż innego w Wieczorach nie mam i pod tym adresem zawsze mnie twe listy dojdą. Łamigłówki złożyłam w Redakcyi.

Niesłusznie oskarżasz swe pismo Biały Orle, bo jest ono i staranne i czytelne, a jeśli ci wprawy brakuje, to i tej z czasem naładziesz mianowicie pisząc dużo, lecz niezbyt pospiesznie. Nie jest to już podaniem ale stwierdzonym faktem historycznym, że Bolesław Śmiały, przepędził ostatnie lata życia swego na pokucie w klasztorze w Ossyaku, w Karyntyi, znajduje się tam nawet wmurowana w swym czasie płyta kamienna jako świadectwo iż tamże spoczywają jego zwłoki. Łamigłówki Redakcyja przejrzy i umieści w Wieczorach, o ile okażą się odpowiednie do druku.

Dziękując ci za pamięć kochana Anulko przesyłam nawzajem przyjazne pozdrowienia od życzliwej.

Jaskółki.